



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Ubieliły świat zadymka i śnieżycą; mamy tedy zimę dokumentną, której początek zapowiada się energicznie i stanowczo. Mroźnik, młody jeszcze despota, lodowe więzy przecież narzucił już ziemi i na nosach i uszach ludzkich próbuje swoich pazurków. Śniegi zawałyły pola i drogi, że aż komunikacją zatamowały w niektórych miejscowościach; dla miłośników szlichtady i ślizgawki rozpoczyna się pora upragnionej, a tak rzadkiej w roku zeszłym rozrywki.

Towarzystwo wiosłarskie dwie posadzki przygotowało dla swoich członków, jedną woskowaną w lokalu zimowym przy ulicy Miodowej, drugą na sadzawce Ogrodu Saskiego; tu i tam roić się będą i wirować zręczne pary tancerzy i łyżwiarzy, byle tylko humoru i ochoty do zabawy nie zbrakło.

Już-to tego towarzyskiego animuszu mamy zazwyczaj dosyć, ale czasy obecne nie wpływają wcale podniecająco na humor; gdzie uszy puścić, wszędzie skargi i narzekania, wszyscy pospuszczali nosy na kwintę i zapewniają z ciężkiem westchnieniem, że takiej biedy nie pamiętają.

A kiedy będzie lepiej i co poprawi dzisiejsze stosunki handlowo-przemysłowe?... nikt nie umie odpowiedzieć.

Wiemy tylko, że źle jest, że utrzymanie coraz cięższe, zarobek coraz trudniejszy, że ludzie pracy muszą żyć na publicznym koszcie, bo inaczej z głodu umrzeć-by musieli.

Przechodzimy bardzo ryzykowną fazę przesilenia, która przedłuża się i niewiadomo, jak i kiedy się skończy; jeszcze ta zima, zasłaniając nas wprawdzie przed niebezpieczeństwem epidemii,

pogarsza warunki nędzy i biedy na bruku miejskim.

Ale przyznać trzeba, że się z losami zawistnymi bierzemy jakoś za bary i nie chcemy się im poddać bezwzględnie, nie pozwalamy im przynajmniej gnębić słabszych i bezbronniejszych.

Litość i miłosierdzie, jak dwa anioły opiekuńcze, zlatują na ten padół płaczu i podnoszą upadłych na duchu i zrozpaczonych, osuszają łzy i pomagają dźwigać ciężar żywota...

Jest w duszach litościwych i w sercach miłosierdzie czyniących coś anielskiego, co je podnosi wysoko i uszlachetnia i częściej zjednywa.

Warszawa pochlubić się może co roku dowodami takiego filantropijnego i humanitarnego poczucia, a w tym czasie więcej, niż kiedykolwiek zasługuje na wyraz uznania, bo nigdy chyba bardziej w porę ofiarności szlachetnych jednostek nie zgłaszała się sama z pomocą, jak dzisiaj.

Wspominaliśmy już o pożytku nowej instytucji przytułków noclegowych i o staraniach rozszerzenia ich dobroczynnej działalności; dziś zanotować nam przychodzi z najwyższem uznaniem filantropijno-obywatelski czyn i wzorowy przykład p. Bernarda Handtkego, fabrykanta tutejszego, który z nastaniem mrozów rozdawać zaczął ciepłą strawę bezpłatnie robotnikom bez zajęcia.

Codziennie pomiędzy godziną 11-stą a 12-stą w południe, dzięki ofiarności zacnego człowieka, wydają z jego fabryki drutu i gwoździ przy ulicy Twardej od 150—200 obiadów, złożonych z zupy, kawałka mięsa i jarzyny, z dużą kromką chleba,—zgłaszającym się biedakom.

Szlachetny dobroczyńca zamierza przez całą zimę stołować swoim kosztem głodnych, a ofiara ta znaczna, poza materialną swoją wartością, ma jeszcze drugą, moralną, bo karmi nietylko głodne ciała, ale rozbudza w sercach i umysłach zbiedzonych klas robotniczych pojęcia szlachetniejsze i instynkta wdzięczności, nie pozwala obala-

mucać się podszeptami nędzy i złej rady społecznych wichrzycieli.

Za przykładem p. Handtkego, którego ofiarności błogosławić będą setki rodzin, uciskanych konsekwencyą ogólnego zastoju, poszło już dwóch innych fabrykantów i poczęło rozdawać bezpłatnie herbatę gorącą.

Od poniedziałku zaś otwarto taką dobroczynną kuchnię gratisową dla robotników pozbawionych pracy na Solcu pod Nr. 46-ym z inicjatywy osób pragnących zachować swoje *incognito*.

Zapewne wkrótce dowiemy się o innych podobnych ofiarach, dla których pobudką był pierwszy dobry przykład p. Handtkego.

To poczucie niesienia pomocy uboższym w ciężkich do przetrwania czasach sięga, Bogu dzięki, aż do warstw najbliższej z nędzą się stykających; wyczytaliśmy w Kurjerze wiadomość o ofierze tej jakiejś pani Tomaszowej za Żelazną Bramą, utrzymującej garkuchnię pod gołym niebem, która zobowiązała się odstępować dla głodnych 10% swojego dochodu z herbaty i odgrzewanej wiewiórki.

Wobec tej ofiary straganiarki, jakżeż zarumienić się powinny nasze możne panie, którym dotąd przez myśl nawet nie przeszło, że jednym przysmakiem ze swojego stołu, jedną kokardą swojej sukni nowej, mogłyby zaspokoić głód całej rodziny, pozbawionej dziś kawałka chleba, a co gorsza możliwości zapracowania nań.

Z dobrą radą, godną poparcia i wykonania odezwał się w *Słowie* p. K. P., nawołując do składania ofiar w formie marek na obiady w taniach kuchniach, któreby jakiś *ad hoc* utworzony komitet, albo Biuro nędzy wyjątkowej, lub wreszcie Towarzystwo Dobroczynności rozdawało robotnikom bez miejsca.

„Wszak Warszawa, powiada wnioskodawca, która do hojnych ofiar tak jest skora, potrafi i drobniemi, ale *statemi* datkami wesprzeć głodnych, a niezasłużenie, braci. Za granicą małe

kwoty, ale od każdego wnoszone, milionowe sumy czynią i kolosalnej nędzy zapobiegają. Niechby każdy Warszawiak jedną markę tygodniowo ofiarował na stół głodnych, a możeby łaknących nie było w Warszawie.

Przypominamy sobie, że w roku zeszłym z okazji wprowadzonych w dobrą, a oby trwałą modę „wieczorków wełnianych”, poczęto zbierać drobne kwoty na stypendyum jakiegoś; czy nie należałoby obecnie celu tego zmienić na potrzebniejszą pomoc dla głodnych biedaków?

Powiadano nam, że ktoś w swoim salonie zrobił zachęty godny początek ożywienia zebrania towarzyskich wspólnym odczytywaniem znakomitych utworów dramatycznych; jest to rodzaj recytowanego przedstawienia, w którym aktorowie występują tylko w charakterze lektorów.

Przyjemna ta i zajmująca rozrywka mogłaby również posłużyć dla celów filantropijnych; repertoaru nie zabraknie, jeśliby nie chciano użytkować z dzieł wielkich mistrzów sceny, to znajdzie się przecież dosyć drukowanych utworów nowszej daty oryginalnych i obcych autorów, które mogą wzbudzić interes zarówno czytających, jak słuchaczy na takich „wieczorach dramatycznych.”

W każdym razie większy z tego pożytek i zabawa, niż z bezmyślnej salonowej paplaniny, przeplatanej ziewaniem ukrywanym pod wachlarzem przed kolacją, a nieukrywanym wcale po kolacji.

Możeby przytem skorzystała trochę i literatura; czyta się u nas dzisiaj bardzo niewiele, żywi się po największej części tylko strawą dziennikarską, poprzesztaje na urywkach, zadawała byle czem drukowanem.

Dosć popytać u księgarzy, jak w ogóle osłabł cały ruch książkowy u nas, jak się to odbija i na prassie, która, zamiast zyskiwać, traci czytelników.

Objaw ten daje się poniekąd wytłumaczyć tą generalną przyczyną wszelakiego zastoju u nas; ludzie tłómaczą się, że na kupowanie książek i na prenumeratę pism nie pozwalają im złe interesy. Być może, ale naszym zdaniem, książka i dziennik, jeżeli nie stanowią koniecznej potrzeby średnio oświeconego człowieka, a muszą być, niestety, zaliczone tylko do „pożytecznych zbytków” w dzisiejszych warunkach, to niechże przynajmniej będą tym ostatnim zbytkiem, z którym jedynie smutna konieczność każe się rozstać.

Tymczasem, bardzo często dziś jeszcze przestaje się prenumerować pismo, a przegrywa dzieścikrotną jego wartość przy zielonym stoliku lub na bilardzie, mija się księgarnią, a wstępuje zawsze z jednakiem westchnieniem na te ciężkie czasy do handlu na buteleczkę białego.

Dziwna rzecz, że tę książkową jakąś apatyją podzielamy z najoświecenijszym w Europie narodem Anglików; oto w liście Dra Fritschego, pomieszczonym w *Kuryerze Warszawskim*, znajdujemy szczegól uwagi godny. Szanowny redaktor *Medycyny* bawił przed niedawnem w Londynie, gdzie miał sposobność poznać tłómaczkę Mickiewicza, pannę Maud Biggs, o której wspomniemy zaraz poniżej, i od jej nakładcy dowiedział się, że przekład „Konrada Wallenroda” pomimo przychylniej krytyki w prassie angielskiej, mało znalazł ciekawych nabywców w druku.

Objaśniono go, iż „wypływa to ze wstrętu, jaki Anglików od jakiegos czasu ogarnął do kupowania i czytania książek. Przerzuca się tam czasopisma codzienne, tygodniowe, miesięczne, ale czytania książek każdy starannie unika.” (*Tout comme chez nous*). Angliki przynajmniej tłómaczą siebie—brakiem czasu; u nas ta przyczyna byłaby chyba dziesiątą z rzędu.

Dr Fritsche w wymienionym powyżej liście uwiadamia czytelników o istnieniu starannych przekładów: *Grażyny*, *Pana Tadeusza* i *Dziadów* na język angielski, dokonanych przez pannę Biggs, która, niestety, nie może w swojej ojczyźnie znaleźć nakładców na swoje tłómaczenia; autor ze względu na korzyść z popularyzowania arcydzieł naszej literatury wśród obcych, zachęca do popierania usiłowań angielskiej tłómaczki i do wydania naszym kosztem jej przekładów.

Bardzo-by to pięknie było, ale wniosek powyż-

szy zjawia się właśnie w porze, w której wiele naglejszych potrzeb mamy do zaspokojenia, a dla honoru naszej literatury wypadłoby wpieryw u nas, na własnym gruncie, pospieszyć z ofiarami.

Łatwiejszą wydaje nam się na razie druga kwestya odezwy Dra Fritschego; oto dowiedział się on, że proza miałaby większy pokup i łatwiejszy zbył w prassie i wydawnictwach angielskich; korzystając tedy z życzliwości panny Biggs dla naszej literatury i narodowości, proponuje on, aby nakładcy pism naszych (a zwłaszcza pism dla kobiet przeznaczonych), oraz nowych utworów belletrystyki polskiej, przysyłać je chcieli wspomnianej tłómaczce, która, stosowny czyniąc wybór, zasilałaby swą ojczystą prassę tłómaczeniami polskich utworów i rozpowszechniała je wśród swoich rodaków. (Miss Maud Biggs in London 19 Nottinghillsquare, Nottinghillgate).

Gd literatury w najbliższe sąsiedztwo przechodzimy do sztuki, która na początku zimowego sezonu żywiej zaczęła znów interessować publiczność warszawską. Hasło dał Matejko, przysyłał swego „Zamojskiego pod Byczyną” na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. W kilku wierszach nie godzi się rozbierać wartości i blasków tego nowego klejnotu, który mistrz nasz wprawił w łańcuch bogaty swojej twórczości; w ten sposób wolno nam tylko zanotować pojawienie się jego dzieła na wystawie, które obok „Skargi” i „Grunwaldu” uzupełnia obecnie trójcę świetnych kreacji genialnego malarza z rozmaitych epok tworzenia i pozwala czynić porównawcze studia pomiędzy temi trzema dziełami.

Wzmianka należy się obrazom, nie malowanym wprawdzie, ale z żywych figur ustawionym przez naszych artystów, w Gersonem na czele, któremi Towarzystwo Muzyczne uczciło święto swojej patronki w Salach Redutowych. Estrada koncertowa zamieniła się tymrazem na zajmującą galerią, w której „muzyka jako towarzysząca życia”, przedstawiała się w allegorycznych obrazach, ułożonych z wielkim smakiem i malowniczym efektem.

Przedstawienie ma być powtórzone z poprawionym programem prawdziwej muzyki, która, zdaniem melomanów i krytyki, przygłuszoną była wrażeniem malowanej swej przedstawicielki.

Wreszcie winniśmy zwrócić uwagę na otwartą od dni kilku wystawę szkiców i przedmiotów z artystyczną stroną malarstwa związek mających. Po większej części same młodsze siły, ale bardziej utalentowane, naszej malarskiej kolonii, przyjęły udział w tej zajmującej wystawie, o której jeszcze raz obszerniej pomówimy przy sposobności, życząc jej tymczasem zasłużonego powodzenia.

JAK DŁUGIEM JEST ŻYCIE.

Jak długiem jest życie, a co w niem chwil pró-
[żnych!

Na drodze co zawad, co przeszkód jest różnych...

Jak ciężko jest orać dział swego zagonu,

Jak mało nam w rękach zostaje zeń plonu!

A kiedy już blisko, już blisko noclegu,

Widzimy co węzłów potargał czas w biegu,

Co skarbów nam zniszczył, co zabił nadziei,

Co dążeń najświętszych wytrącił z kolei,

Jak rankiem żywota bieglśmy szaleni!

Jak teraz idziemy zmęczeni—zmęczeni....

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dalszy ciąg).

Próbuję czasem uczucia i myśli przelać w formę zewnętrzną; nie mogę. Forma się łamie i, nie-

posłuszna, nie chce w sobie pomieścić żadnej treści. To łamanie się jest bardzo przykrem; czuję się prawie upokorzonym. Może to powód jest zmiany treści, którą chcę przelać w dawną formę, w liryczną? Dawniej były to—uczucia, marzenia: dziś chciałbym wyrzeźbić moje zasady, dla których może liryczna forma jest za krucha, za wątła i dlatego pęka, przeciążona. Może zmienić kształt zewnętrzny? Ale to wszystko są przypuszczenia same. Tu wyrozumować nie można, bo gdyby można poezją zawrócić do duszy, którą opuściła, toby jej się można i od początku nauczyć. Niech co chcą mówią metodyści, któż kiedy wypracował w sobie natchnienie? Powodu właściwego nie mogę określić, ani omówić w żadnym sposób; żadne wywody ani rady estetyczne nie pomogą; tu coś się stało. Może to jest wyczerpanie ducha.. O, jakże niegłębokiem byłoby moje morze; a ja byłem pewny, że w godzinę śmierci żałować będę życia najwięcej dlatego, że trzeba będzie porzucić niewyczerpaną siłę! Gdybym wierzył w podzielnosć duszy i w powolne umieranie jej oddzielnych części—nad czem nieraz się zastanawiałem,—mógłbym dość teraz do rodzaju zwątpienia. Wszakże starzy ludzie tracą pamięć, tę podstawę wszelkiej myśli, ten pierwszy węzeł rozumowania, od którego ciągnie się łańcuch logiki: może więc i ja straciłem fantazję twórczą, straciłem imaginację, która jest pamięcią w stronę przyszłości zwróconą; porywa rzeczy, które stać się mają i ustawia je w porządek możebności.

W dążeniu do światła widzimy najpierw cień każdej rzeczy, idącej przed nami; imaginacja ma władzę chwytania takich cieniów i z nich tworzy sobie obraz stojącej w dali, w promieniach słońca, przyszłości. Cudowna rzecz! Jest to podwójne używanie rzeczywistości. Bo cóżby to za straszna była maszyneryja życia, gdybyśmy tylko żyli dokonaniem faktami! Fantazja byłaby niepotrzebną zupełnie. Mała, milionowa cząsteczka szczęścia, dobra, piękności, która się naprawdę staje, czyżby nam wystarczała—nam, duchom, dążącym do ideałów?

Stwarzamy sobie około jednego punktu dotykanej rzeczywistości tyle promieni, że nam się widno robi w myśli.. I to bezustanne mnożenie w sobie światła jest cechą właśnie istot przeznaczonych dla sfer najjaśniejszych, dla których ziemia jest tylko epoką światłości,—pożądania.

Imaginacja moja zwinęła skrzydła; i oto stoję na ziemi bez możności ulatywania w górę.

Badam ducha mojego i szukam w nim jakiejś winy, za którą pokutuję ucięciem skrzydeł.

Sumienie jednak nic mi nie wyrzuca.

Błądziłem nieraz, ale w porannej rosie, którą Bóg daje, obmywałem z pokorą czoło razem z kwiatami i rannym skowronkiem, a ja grzeszyłem tem tylko, że może za często zapalałem ogień mej duszy dla mojej własnej przyjemności patrzenia na wybuchy płomienistej myśli.

Zkądżeż się wzięła ta niemoc dzisiejsza? Więc życie moje na ziemi miało być dłuższe od trwania natchnień, i ja sam, przeżyć miałem najlepszą cząstkę samego siebie? Cóż to jest? Czuję, że potrzeba, abym coś zrobił, ja sam, i że to mnie tylko wybawi. Ach, ale cóż ja mam zrobić?

Jednoby mi może pomódz mogło: żywe jakieś uczucie, chwila gwałtownego zapалу, czy niebezpieczeństwa, smutku wielkiego lub szczęścia, miłości czy bólu—słowem: chwila, któraby była progim nowego świata. Kochać i cierpieć! Może tego mi trzeba... A tymczasem panuje „cisza błękitu”, cisza fatalna dla żeglarza. „Dusza sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem” błądzi w przestrzeni i nie tworzy nic, płynąc po codziennej powierzchni życia, jak okręt, zatrzymany spokojnością morza. Żadna fala się nie poruszy, a serce bije sobie jednostajnie, jak nastawiony zegarek. Pamięć moja dni dalszych stoi nade mną, jak grobowa kolumna, a ja ręką zasłaniam sobie oczy i czekam, czekam...

Boże mój, już rok...

Nieraz już w życiu bywało mi smutno, lecz z takich godzin przecież zawsze odnosiłem korzyści; wydobywałem się z mgły utrapienia i walki, jakiś świeższy nawet silniejszy, jak orzeł, który przebija się przez zawieruchę do słońca,

jak koń pustyni przelatujący przez stopy piasku do rozkosznej oazy. Dziś nie czuję, aby z tego zatrzymania się duszy, korzyść płynęła. Stoję na miejscu, a dla człowieka stać—to znaczy tyle, co wracać się. Mój raj utracony jest mi tem smutniejszym, że nie wiem za co mnie wygnano. Pracowałbym chętnie w pocie czoła, dotknąłbym się wszystkich prozaiczności życia bez szemrania, gdybym miał jeden promień nadziei, że potem znajdę na końcu walki moje dawne skrzydła. I czemu byłaby mi wszelka wędrówka po nizinach, choćby naokoło ziemi, gdybym wiedział, że na końcu drogi podniosę się znów na dawne wyżyny natchnienia! O, gdyby pójść z Dantym w głębię piekielnej otchłani, i tam z trudem, przez ogień i dymy, wśród cierpień i męczarni, z jednego okręgu na drugi przechodząc, oczyścić duszę własną i wyjść potem z odnowioną myślą na zielone łąki ziemi rodzinnej!

O, Beatrice moja, gdzie jesteś!

Czyż terazniejszość nie jest rodzajem piekła, w które spojrzawszy, można cierpieć ogromnie? Widziałem różne stopnie społeczeństwa i różne upadki człowieka i uczyłem się z nich czem on być może, wyrzekłszy się woli i ideału. I nie potrzeba mi tylko na to Shakespeare'a, aby wiedzieć, że są na świecie różne Jagony i Szajloki zatapiające nóż w sercach bliźniego z całą zimnością i spokojem, że są i tu szatany, niewidzialnymi pętami wiodące swe ofiary do otchłani rozpaczy. Widziałem ludzi zstępujących z piedestału godności człowieka, idących dobijać się o czczy tytuł lub garść złota; widziałem myśli szlachetne odepchnięte od życia i obwołane przez tłum bardzo roztropnych ludzi jako szaleństwo; widziałem młodych ludzi marnujących zdolności i czas, a na ich czołach próżnowanie i nuda pisały hieroglify upadku; widziałem także innych młodzieńców, umiających na łożu nędzy, po starganiu sił ducha i ciała, w walce z przeciwnościami, patrzących z dumą i wzgardą na rulon złota przyniesiony za późno! Oni nie śmieli i wstydzili się za życia prosić u ludzkości—chleba, a ludzie mącą im spokój godziny odlotu z tej głodnej i zimnej ziemi brzękiem głośniejącej jałmużny. O, nędzni! Widziałem różne komedye cnoty, poświęcenia, miłości kraju i zamiłowania piękna; a w tem zaczarowanym kole złudzeń stała prawda i płakała na głos łzami litości nad upadkiem człowieka. Gdym przechodził przez ten czarny labirynt dziejących się występków—oburzenie mnie porывało, gniew całym mną wstrząsał i na widok krwawych obłoków u słońca zachodu, zdawało mi się, że tam stoi anioł sprawiedliwości z ognistym mieczem i grozi światu przed nadchodzącą nocą. Dusza moja wtedy czuła rodzaj zemsty i byłbym wszystkich ludzi wyzwał do walki ze sobą, i byłbym chętnie śmierć poniósł, choćby tylko dlatego, żeby im dać świadectwo, iż jeszcze ktoś dla prawdy umrzeć był gotów. O, ludzie—wołałem w samotności mojej—ludzie, wy, co udajecie, gracie piękne role, komedjanci moralni, fatalni kuglarze, intryganci życia, zrzucicie maski ohydne fałszu i bądźcie lepiej prawdziwymi szatanami, niż szatanami przebranymi za dobrych ludzi! Widziałem to wszystko i mam dosyć. Nie pójdę w tem ziemskim piekle brudzić wrażeniami duszy mojej, ani szukać natchnienia tam, z kąd wypchnięto prawdę!

O, milsze mi stokroć cierpienie i tęsknota mej duszy za poezją i siłą tworzenia, niż ten powszechny, gorączkowy, szalony prąd do olśniewania słabych ludzi udaną wielkością, którą trzeba codzień latać, zszywać, bielić, podpierać, aby stała, jeszcze—jeszcze, jeszcze! O, biedne istoty, które wołacie sobie ten wyraz, pełen śmiertelnej trwogi. „Jeszcze!“ i dosyć wam tego! A jednak, kiedyś znałyście może to słowo, wyjęte z nieśmiertelnych dźwięków: „Zawsze!“ To jest drugie imię—Prawdy.

Ach, Beatrycze moja, gdzie jesteś?

Bałem się nieraz zbadać przyczynę zamknięcia, co poezji mojej; bałem się, bo nie wiedziałem, co począć, gdy znajdę przyczynę nie do usunięcia.

Lękałem się dostać jakiejś śmiertelnej tęsknoty.

Miałem chwile, w których byłem niezadowolony z siebie, z świata, ze ludzi, ze wszystkiego; cały

dzień chodziłem zachmurzony i obwiniałem o to każdą godzinę co przeszła, z osobna; ranek nie był takim, jakim go mieć chciałem; południe było duszące, nieznośne; pod wieczór było coraz gorzej, a w nocy oskarżałem siebie za stratę jednego dnia, w życiu tak krótkim! Dzień po dniu tak przechodził, a ja, budząc się, wiedziałem że stoi nademną szermierz nowy o dwudziestu czterech strzałach, które ja mam dostać w serce, a potem wyrzucać sobie brak codziennej odwagi na cierpienia ducha!

O, dosyć tego!

Przyczyno, jakakolwiek jesteś, stań przedemną! Nie mam poezji, ale mam—wolną, silną wolę! Nie będę poetą już może, ale mogę być—człowiekiem! Być naprawdę—człowiekiem, to bardzo wiele. Ja chcę. To początek wszystkiego.

— Duszo moja, otwórz się, sędzia wchodzi.

Nie bój się, rzecz się będzie działa przed trybunałem prawdy. Ja jestem oskarżycielem, sprawiedliwość—obroncą.

Do rzeczy.

— Czy ja jestem geniuszem?

— Nie.

— Czy ja jestem talentem?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Mam za mało na to ufności w siebie.

— Więc czemu ja jestem?

— Zaraz, będę myśleć i dowiem się.

Są trzy rodzaje duchów ludzkich na ziemi.

Kiedy, przeszedłszy stopnie wykształcenia, przechodzi człowiek do samopoznania w sobie pewnej siły indywidualnej, stojąc na tym progu *jestem*, bierze swój właściwy kierunek przeznaczenia. Mówię tu o sferze duchów wyższych, bo są miliony takich, co nigdy nie dochodzą do zdania sobie sprawy z tego, że są i dlaczego są. Nie jest to jednak poczęści ich, i tylko ich własną, winą. Ale nie o tem teraz. Do pierwszego rodzaju należą ludzie, którzy, stanawszy na progu *jestem*, nie pragną słowa *będę*, w czysto duchowym znaczeniu; są to ludzie bardzo wykształceni, nawet czasem uczeni, z umysłem wypolerowanym i błyszczącym, przystosowanym do ogólnego stopnia cywilizacji, wiedzący, że są ideały, ale idący sami drogą prowadzącą ich do własnych, osobistych celów—i na tem koniec. Geniusz i talent dostają na tym progu skrzydeł do samoistnego lotu. Geniusz leci szukać ideałów nowych, talent, już znane rozświetlać dla ludzkości. Za nimi idzie pas świetlany, błogosławieństwo wśród cieniów wieku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GLUPIA DZIEWCZYNA

NOVELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Komedią grałaś? no patrzaj, a ja się bałam, żeś się zakochała naprawdę!

— Lecz i tak nie jestem pewną jego przyrzeczeń! Ah, mam, mam, jak ciężko nam biednym pannom!

— Przecież on bogaty i nie dba o majątek.

— Kto wie czy nie dba; zresztą pokaże się jeżeli powróci!

— A tożby straszna rzecz była, gdyby i ten... ah, ten radca!.. jednak moje dziecko. Bóg widzi, że byłabym najszczęśliwszą, gdybyście się oboje wzajem pokochali; skoro jednak tego nie jesteś zupełnie pewną, trzeba przynajmniej pewną być jego powrotu.

— A to jak? — spytała żywo córka.

— Potrzeba, ażeby radca nam w tem dopomógł. Pan Cezar powinien dać ci przed wyjazdem uroczyste słowo, jeżeli nie chce zaręczyć się wobec nas wszystkich.

— Nie, mam, nie czyni nic, jeżeli nie chcesz popsuć wszystkiego. Ja go poznałam doskonale. On chce być niepodległym, nie kępować się i nie wiązać niczem, a jeśliby miał się zdobyć na czyn stanowczy, to chciałby wiedzieć, że czyni to z własnej woli: dlatego nic mi nie pozostaje tylko czekać cierpliwie.

— A jeżeli się nie doczekasz jego powrotu?

— To będzie już taka dola moja!—i zalała się łzami.

V.

Pan Cezar pożegnał się czulej z całą rodziną, niż może sam chciał tego. Mimowoli żal mu się zrobiło ładnej dziewczyny, która cicho i pokornie patrzyła mu w oczy, śmiejąc się serdecznie z każdego jego dowcipu. Matce oświadczył ze stanowczością, że wróci wcześniej zapewne niż za dwa miesiące, Antosi zaś rzekł:

— Panno Antonino, gdy powrócę, zapyta mnie się pani znowu, czy lubię konfitury?

— Nie — odrzekła z naciskiem i zimno — wtedy gdy pan powróci, nie zapytam się już pana nawet o to, czy pan zawsze prawdę mówi.

Cezar poczerwieniał i zmieszkał się widocznie, Aniela spojrziała z gniewem na niepoprawną siostrzyczkę, matka tylko tymrazem rada była słowem tej dziewczyny.

Radca zaś, który był także obecnym przy pożegnaniu, zgromił surowo Antosia skoro zostali sami, mówiąc z nadzwyczajną godnością:

— Powinna waćpanna wiedzieć, że kiedy ja wprowadziłem tego zacnego i honorowego młodzieńca, to musiałem wiedzieć, co czynię. Tak jest, tego młodzieńca wybrałem spośród wielu.

— A p. Kalixta nie wybrał p. radca spośród wielu?

— I Napoleon I-y mylił się, wiedz o tem waćpanna—dodał obrażony radca.

— Ale Napoleon sam tylko za to odpokutował—odparła zarumieniona Antosia zuchwale.

— Moja Antosiu proszę cię wyzwól mnie raz ze swej opieki—rzekła obrażona Aniela—czy to przyzwolicie było czynić p. Cezaremu jakieś wyrzuty?

— Ah, moja droga—zawołała podrażniona Antosia—zobaczycie, że mnie mój instynkt nie myli, i że z tej mąki chleba nie będzie.

— Kozak, kozak dziewczyna!—potrząsnął głową p. radca—i dalibóg jeżeli z Anielcią pójdzie nam łatwo, z tą nie uda się nam nigdy.

Matka milczała, nie strofując tymrazem upartej dziewczyny. Tymczasem tydzień mijał za tygodniem, a p. Cezar nawet listem nie przypominał się nikomu. Aniela pobladała i często zarumienione miała oczy, ale nie skarżyła się przed nikim, aż gdy raz Antosia objęła ją za szyję i pieszcząc się z nią, jak z małym dzieckiem, usiłowała ją pocieszyć, usłyszała takie słowa:

— To ty wywróżyłaś mi tak źle, w złą godzinę.

— Anielciu, Anielciu, cóż ci z tego, czy on powróci czy nie, kiedy ty go nie kochasz?

— Kocham czy nie kocham, tobie nie do tego—co ty zawsze z tą miłością!

— Nie wiem co, ale przecież narzeczonego kochać trzeba; ja przynajmniej...

— Cóż ty przynajmniej?

— Ja przynajmniej nie poszłabym za takiego, któremubym oddać nie mogła całego serca, i wiesz Anielciu, nie gniewaj się na mnie, ale zdaje mi się, że gdybyś go ty szczerze była kochała i on byłby cię pokochał.

Najniespodziewaniej jednak przyszedł list nazajutrz od p. Cezara. List był krótki, zimny i jasny. Pan Cezar tłumaczył się, że wuja choroba wzmogła się i że nie wie kiedy będzie mógł przywitać się znów z tak drogiemi mu osobami. Pan radca nawet, strutynowawszy list według interpretacji logicznej i grammatycznej, mruknął kilka razy i rzekł powolnie, po wyjściu wszakże Antosi, przy której argumentować się wstydzil:

— Hm, hm, co za młodzież dzisiaj, co za młodzież! Ten, na przykład, błagał mnie żeby go ożenić, a ilekroć się go pytałem jak mu się podoba Anielcia, odpowiadał zawsze głośno: — szalenie

Jest jednak jeszcze sposób dowiedzenia się prawdy: napiszę do niego.

— Nigdy na to nie zezwolę! — zawołała żywo Aniela.

— Masz racją, moje dziecko — rzekł po krótkim namyśle p. radca — przyjedzie, to dobrze, a nie, to pal go lichy; skoro jednak moja wina, poprawię się i przedstawię wam jeszcze jednego młodzieńca....

— Nie, nie — przerwała Aniela — dosyć tych prób.

— Zostawmy to losowi — rzekła smutno matka — albo jej przeznaczone, albo nie....

— Ale przeznaczeniu dopomóż trzeba — rzekł radca. — Zawiniłem, prawda, lecz intencje moje znacie, a powiem wam z góry kogo chcę wprowadzić. Jest to człowiek około lat 40, ale właśnie dlatego stateczny, nie żaden świszczypała, przyszedł od lat sześciu zajmuje piękną i zaszczytną posadę profesora gimnazjum; człowiek z charakterem, nie rozrzuca się tak jak p. Cezar, ale gdy co powie, to wie o tem dokumentnie. Brzydki też nie jest wcale, choć nie taki ładny, jak ten birbant Cezar; rodziny żadnej nie ma, żadnych wujaszek, jak ten urwis Cezar — chce sam ufundować rodzinę czyli ożenić się jaknajrychlej — wiem o tem od pani dyrektorowej, u której bywam na herbacie. Podobno ma także trochę już uciulanego grosza, którego pewnie nie straci jak ten ladaco Cezar, który, pewny jestem, i milionową fortunę jeszcze puścić gotów. Zatem, jeszcze jeden experiment....

— Ale chyba już ostatni! — odezwała się matka smutnie.

— O! przysięgam mamie, że ostatni, bo jeżeli tym jeszcze razem zostać — bym miała dla mamy ciężarem, to wiem co uczynię.

— Wstąpisz do klasztoru? — zaśmiał się radca — klasztor nie dla ciebie, moja panno, dla ciebie ładnej i młodej; tylko, moje drogie, proszę was — tu przyciszył głos pan radca — ani słowa przed Antosią, bo jak ona zacznie wypytywać się, okrażać i zagadywać mojego profesora, to go wykurzy, jak tamtego.

— Cóż znów! — ujęła się matka — czyż to ona winna, że tamci....

— Nie ona, wiem, ale ona ma coś takiego w sobie, co może odstraszyć, chciałem powiedzieć, zniechęcić.

— A tak — dorzuciła Aniela — jak zacznie wróżyć i przepowiadać, tak zawsze wywróży!

— Dajcież pokój mojej biednej Antosi, a wiesz najlepiej, Anielciu, że ciebie kocha więcej od siebie samej.

— Tak, moje drogie, wiem, że ona dobra dziewczyna, choć prochu nie wynajdzie, ale, jak powiadają, jak zacznie przyskakiwać jak wróbelki i trzepotać się i tu dzióbkiem i tam dzióbkiem, tak zaraz kartka się odwraca. Więc, czasu nie tracąc, sprowadzę go jak najrychlej, a jeżeli ten nam się wyslizni, to już nie będzie ani moja wina ani jego, tylko wasza, bo za niego ręczę jak za siebie.

P. radca zabierał się do wyjścia, Aniela ponuro patrzyła przed siebie. Matka, odgadłszy może przyczynę jej zasepienia, zatrzymała jeszcze radcę, mówiąc:

— Tylko powiedz pan szczerze: bardzo brzydki?

— Wcale nie, głowa myśląca, czoło....

— Ale może niezgrabny lub nieprzyjemny, bo to ci profesorowie... mój wprawdzie był wyjątkiem, ale com dawniej znała innych, to sami łysi i ciągle żażywali tabakę.

— Mój ani nie łysy, owszem ma gęstą czuprynę, może tylko trochę rudawą, ani tabaki nie żażywa wcale, a nawet cygar nie pali. Powiadają wam: model godnego człowieka!

— Daj Boże Najwyższy raz nareszcie wybrać szczęśliwie! — westchnęła matka, odprowadzając pana radcę do drzwi.

Aniela, pozostawszy sama, wyjęła z szufladki swego biurka kartkę pomietaną, którą przeczytawszy uważnie, potargała w kawałki. Więcej wszakże było w tem gniewu, aniżeli żalu.

Kartka pochodziła z owego wieczoru, podczas którego bawiono się w pytania i odpowiedzi. Pan Cezar napisał wtedy: „Czy serce dotrzyma tego, co oczy mówią?”

Nie znamy odpowiedzi Anieli, ale ona musiała ją pamiętać dobrze; dlatego teraz ze wstrętem myśli o nowym konkurencie, który, chociaż tabaki nie żażywa i jest „modelem godnego człowieka“ z pewnością jednak podobny nie będzie do bardzo przystojnego i tak miłego, jakim był p. Cezar.

— Na wszystko zgodzić się muszę — dumiała z głębokim smutkiem — jestem ubogą panną, matce na starość potrzeba spokojnego kąta. Nie mnie marzyć o miłości wzajemnej, o szczęściu w tem smutnym życiu.

Jakgdyby do pozyskania czyjejś miłości potrzeba było krociowego posagu!

Pokazuje się, że i młode panny lubią czasem osłaniać oschłość swego serca, czy samolubne spekulacje, filozoficzną pokrywką kategorycznej konieczności.

Nadspodziewanie professor nie był ani śmiesznym, ani brzydkim, ani niepozornym i nudnym. Przeciwnie, jeżeli mężka powaga i spokój, nadały twarzy wyraz surowy i zimny, to łagodny uśmiech okalający duże, ale białymi zębami wyposażone usta i spojrzenie pełne dobroci w siwych niewielkich, gęstymi brwiami ocienionych oczach czyniły całą postać miłą i pociągającą. Żółte cokolwiek w rudosić wpadające włosy, nie specyficznie go bynajmniej, więcej może korpus napół zgięty, zapewne skutkiem przesłęczenia niejednej nocy przez wiele lat nad książką. Istotnie professor Rozbielski od małego chłopca borykał się z życiem. Sam się pracować nauczył, silną wolą wykształcił, gorzkim nieraz i bolesnym doświadczeniem świat poznał i ludzi, nie czując jednak dla nich goryczy lub żalu lecz litość, a czasami pogardę wyższego człowieka, który przebacza, choć zapomnieć nie może.

W tej pracy ani się spostrzegł, jak mu zeszała młodość, a jednak ilekroć na samotnych przechadzkach oddawał się marzeniom, tylekroć widział siebie zawsze w cichym, schludnym i miłym domku, przy stole oświetlonym bladym promieniem lampy, patrzącego w rozjaśnioną twarzyczkę młodej kobiety. On jej opowiadał o całodziennej swej pracy, a ona, gładząc białą swą rączką pofalowane jego czoło, prosiła go pieczołliwym głosikiem, ażeby się tak nie męczył. Wtedy on porywał białą rączkę, całował z uniesieniem, dziękując Bogu za taką żonę, i z nowym zapalem a świeżymi siłami, zagrzebywał się w książkach, w których wagę teraz wierzył więcej niż kiedykolwiek.

Dlatego udało się radcy bardzo łatwo namówić go do poznania wdowy i jej córek, które znał dobrze z widzenia w kościele, a co więcej, blada i zamyślona twarz Anieli zajęła go odrazu. Zdało mu się, że mają równe usposobienia, że na dnie duszy jej i jego znajduje się tajemna niekóra, która je odrazu zwiąże ze sobą. Nieśmiałość tylko wrodzona i nieufność do samego siebie wstrzymywały go od bliższego zapoznania się.

Zaczął bywać w domku wdowy, nie jak konkurent, dopełniający tylko formalności przed ślubem, ale jak człowiek czujący sympatią do kogoś i pragnący szczerze zawrzeć związek przyjaźni. Nie mierzyl Anieli ognistemi oczami, nie prawił jej komplementów lub sentymentalnych frazesów, ale rozmawiał ze spólcuciem człowieka, który się tajonych boleści lub smutków domyśla i rad byłby je podzielić sercem swoim, przyzwyczajonem oddawna do smutków i boleści. I oto co się stało? Aniela z bojaźnią i zaledwo tajonym wstrętem słuchała słów jego, tak jak słucha rozpieszczony uczeń napomnień ojcowskich nauczyciela; matka również słuchała go zadziwiona i niewierząca, iżby tak poważny człowiek kiedykolwiek zakochać się zdołał; jedna tylko Antosia nie uciekała, jak zwykle, z pokoju, ale owszem nie odchodziła przez cały czas wizyty profesora. Anieli zaś po kilku tygodniach, gdy ta w najgorszym ciągle humorze często lzy ocierała — rzekła wprost znużona, tak jak czynić przywykła:

— Anielciu, Anielciu, nie obrażaj Pana Boga, to taki dobry człowiek.

— Weź go sobie!

— On na mnie ani spojrz, a na ciebie patrzy

jak w obrazek. No już, że ten kocha cię prawdziwie, na to — bym przysięgła.

— I cóż mi z tego! Być żoną człowieka, dla którego światem dom i szkoła; nie zażyć szerszego świata, żadnej rozrywki, wieczne tylko nudy i nudy!

— A cóż masz w domu?

— Jestem przynajmniej panią u siebie, gdy potem, co mi wynagrodzi utraconą wolność?

— Biednaś ty, Anielciu, biedna!

— Tylko nie lituj się nademną, proszę cię!

— Gdybyś mogła być inną, moja Anielciu, wdziałabyś w tem szczęście, co teraz wydaje ci się niewolą i nudami.

— Jakaś ty przemądrzała! Schowaj sobie ten rozum dla siebie; kiedyś mogła być szczęśliwą z tamtym, kręciłaś głową i wróżyłaś mi źle, a teraz mnie namawiasz.

— Namawiam, nie namawiam! Na mnie, głupią Antosię, nie potrzebujecie uważać; lecz powiedz mi, gdy on tak dalej przychodzić będzie, co zrobisz?

— Pójdę za niego, cożes myślała?

— Nie kochając go?

— Idź — że już sobie, nudzisz mnie twemi wiecznymi pytaniami! — a po jej odejściu zawołała jeszcze głośno: — „Głupia dziewczyna z tem kochaniem!”

Antosia nie odzywała się odtąd ani słówka, pomimo, że słyszała nieraz narady matki z Anielcią. Obie były pewne gotowości profesora, który nie taił się ze swem uczuciem dla Anieli, choć z wyjawieniem zwlekał. Ani wiedziały, jaką professor walkę stacza ze sobą. Serce ciągnęło go do tej dziewczyny, a rozum i przenikliwość odradzały; kochał ją bowiem i poznał, jak mu się zdawało, doskonale. Dostrzegł więc łatwo płytkość jej poglądu na obowiązki człowieka, pewną oschłość serca i skłonność do zabaw i rozrywek. Aniela nie umiała wysłuchać żadnej zajmującej rozmowy, zaraz zlekka przerywając, przechodziła na inny przedmiot; o ludziach, chociaż ich znać nie mogła, wyrażała się z goryczą, a wszędzie i zawsze jako jedyną podstawę szczęścia widziała majątek. Professor przeląkł się takiego rozczarowania w tak młodej dziewczynie i zwątpił o sobie, iżby najżywszem choćby przywiązaniem, wynagrodził jej kiedykolwiek marzenia niedające się urzeczywistnić. Jego marzeniem było znaleźć wierną towarzyszkę doli i niedoli, pocieszycielkę w strapieniu, spółtowarzyszkę w radości z osiągniętych owoców wytrwałej pracy całego życia; a teraz widział jasno, że ani sobie nie zgotuje szczęścia, ani jej nie dotrzyma żadnego z marzeń, których nieraz w rozmowie nie tai. Postanowił jednak czekać jeszcze a raczej łudzić się, tak jak zawsze łudzą się zakochani. Może wypadek jaki, czas, cud wreszcie, przeistoczy ją, a kto wie, czy później, gdy zostanie jego żoną, pod wpływem innych okoliczności i odmiany życia, nie odpadną od niej te chimeryczne zachęcenia, jak opadają zwiędłe liście z drzewa z nastaniem jesieni. On byłby gotów poświęcić się i czekać cierpliwie i z nadzieją jeszcze wtedy.

Przerachował się jednak z własną cierpliwością, a może z głębokością swych przekonań, które okazały się drażliwszemi, aniżeli sam przypuszczał. Raz bowiem, gdy będąc w błogim usposobieniu, opowiadał z zapalem o dziele, nad którym od dziesięciu lat pracując, teraz właśnie je kończy, i gdy z pewnem niezwykłym sobie uniesieniem rzekł, że chyba takie chwile godzą człowieka z przebytymi trudami i zwątpieniami o samym sobie, spostrzegł uśmiech ironiczny na liach Anieli. Podrażniony niezwykle, zapytał jej: dlaczego ze słów jego sztydzi się zdaje?

— Bo nie rozumiem pańskiego uniesienia — odrzekła z tymsamym uśmiechem.

— Prawda, pani go zrozumieć nie może, potrzeba było samemu pół życia swego oddać jakiemś celowi.

— Lecz z tego trudu, na który wyłożyłeś pan pół życia, jak sam mówisz, co za korzyść? Zadowolone własne, a choćby uznanie innych, a potem znów zabierzesz się pan do drugiego dzieła i oddasz mu drugie pół życia, czyli, że całe życie przesłęczysz pan najniewdzięczniej. Pojmuję trud pół życia — rozśmiała się gorzko — wielkiego

wynalazcy, fabrykanta, inżyniera, któremu za to potem górąmi złota zapłacą, tak, że drugie pół życia upłynąć może w zadowoleniu wszelkich zachceń, w tryumfie najwyższym i prawdziwym; ale tak...

Profesor popatrzał na nią oczyma, w których nabiegła krew i łzy, i rzekł zwolna:

— Czyli, że według pani, tylko góry złota dają tryumf?

— Wielki majątek z pewnością albo wielka sława, co chyba na jedno wychodzi.

— Więc cóż robią ci inni, o skromniejszych zamiarach i zdolnościach, którzy w ciasniejszym zakresie trudzą się i walczą dla jakiejś idei, dla jakiegoś pożytku, nie głośnego, ale również może rzeczywistego, jak tamten uwidomiony przez panią górąmi złota?

— Co zrobią nie wiem, ale wiem czego bym ja na ich miejscu nie zrobiła!

Rozmowa urwała się nagle; profesor umilkł zawstydzony i pobladły; matka kręciła się na krześle niespokojnie, czując, że Aniela uczyniła to, co Francuzi nazywają: *un faux pas*. Poznała to i ona sama, gdyż nagle zaczęła uprzejmiej niż zwykle, przemawiać do profesora, jakby go cuciła z głębokiego zamyslenia. Ale on niezrozumiałych kilka tylko słów odpowiedział, a potem, podniósłszy się ociężale z krzesła, pożegnał się krótko i wyszedł... ażeby więcej nie powrócić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Homo homini lupus! Sąd kryminalny w Falmouth w Anglii.—Rozbitki statku „Minionetta”.—Człowiek cywilizowany wobec śmierci głodowej.—Zeznanie kapitana Dudley’a.—Straszliwe szczegóły.—Kobiety i piśmiennictwo z ostatniej doby.—*La Patrie Hongroise* pani Adam-Lambert.—Zdanie o niej znakomitej Węgierki i własne moje wrażenia.—Pogląd autorki na rzeczy transejtańskie.—Osobiste jej uczucia.—Cygańska czaruda i autorka w płasach.—Naśladownictwo Daudera.—Klucz do otwierania niektórych anonimów.—Kilka ustępów z książki.

Homo homini lupus. Tak było, tak jest i tak będzie do skończenia świata! Pobudki ku temu mogą być różne, jak różne są sposoby wykonania; ale w końcu, moralnie czy fizycznie biorąc rzeczy, przychodzimy do tego wypadku, że brat brata zjada! Cała różnica pomiędzy zbrojnym z pałką w ręku, przyczajonym na rozstajnej drodze, a wielkim mężem polityki, siedzącym z piórem w ręku, za stołem kancelaryi—jest ta, że zbrojny zabija jednego, a wielki polityk tysiące. Nie wzdragajcie się, proszę was! Nie uważajcie mnie za dziwaka, nie odwołujcie się do cywilizacji, bo to są słowa tylko, i nic więcej. Póki owce są w oborze, póki ogromne psiska ich strzegą i pilnują, czujni stróże, póty wilk siedzi w lesie, i wyje zdaleka; ale wpuście wilka do owczarni, a zobaczycie na czem się skończy. Prawda, że wilk jest to niecywilizowana bestya! Czekajcież chwilke.

Oto właśnie niedawno toczyła się sprawa w kryminale w Anglii. Jesteśmy więc tu na gruncie największej cywilizacji, mówiąc pcludzku. Słuchajcież, co nam przynosi echo z przedśionków Temidy. Akt oskarżenia opowiada straszliwą historię rozbicia się statku yachtowego *Minionetta*, którego trzech osaleńców majtkowie, żyjący dziś i stawieni przed sądem, zabili i zjedli czwartego—młodego chłopię, uratowane z rozbicia na to, aby się stać pastwą tych ludożerców.

Trzech obwinieni są: kapitan rozbitego statku Tom Dudley, szypier (Master) Edwin Stephens, i majtek Edward Brooks. Stawieni przed sądem w mieście Falmouth, wyznali swą winę. Sprawę odłożono do dni ośmiu i obwinieni wypuszczeni zostali na wolność pod kaucją 200 f. st. od kapitana, a 80 f. st. od każdego z dwóch majtków. Potem odesłano ich przed sąd przysięgłych, których werdykt pokaże nam, jak ludzie sądzą wilków, lub jak wilcy sądzą ludzi. Tu, we Francji, możnaby się założyć, że przysięgli wypuściliby

wilków swobodnie; w Anglii jest to rzecz niepewna jeszcze? Powiadają, że we Francji oskarżeni mogliby ująć kary, gdyż od pewnego czasu, sądy przysięgłych dopuszczają się takich wybryków, że reforma tej instytucji, staje się konieczną. W ostatnich czasach, nie mówiąc o tylu innych werdyktach fantastycznych, na południu, w departamencie de la Drôme, w sprawie bratobójstwa, którego szczegóły tak są straszliwe, że ich tu powtórzyć nie mogę, przysięgli dopatrzili jakichś *circonstances atténuantes* i wydali werdykt, przerażający pobłażliwością bez miary... W Anglii tego rodzaju przypuszczenie nie może mieć miejsca; tu przysięgli mają dwie tylko odpowiedzi: Winien lub niewinien.—Do sędziów, którzy wydają wyrok i wyznaczają karę, należy zbadać i postanowić, do jakiego stopnia winowajca zasługuje, czy nie, na większą, lub mniejszą karę. Rzecz oczywista, że odpowiedź przysięgłych; *niewinien* prowadzi za sobą, uwolnienie bezwzględne i bezwarunkowe obwinionego; muszą więc namyśleć się dobrze, zanim to słowo wyrzekną.

Wiele bardzo osób utrzymuje, że jeśli w jakiej sprawie kryminalnej uniewinnienie się dopuszczone być może, to w tym razie jest ono możebne. Legalnie przecież utrzymywać coś podobnego, jest to wierutne *absurdum*; dowodzić, że ci ludzie umierający z głodu, popełnili tę zbrodnię, w stanie prawnej, osobistej obrony, jest również rzeczą potworną! I tu dopiero wilcy występują na scenie—i gdyby godziło się żartować, możnaby powiedzieć, że występują, jak w owej bajeczce: Wilk i Baran.

I teoria prawa i prawodawstwa same uznają stan konieczności i koniecznej obrony (Nothstand i Nothwehr teoretyków niemieckich). Sławny Bacon, który miał w sobie silne zacięcie na wilka, uplastycznił stan konieczności w obrazie dwóch rozbitków, przyczepionych do jednej i tej samej deski, z których jeden spycha drugiego do wody, ponieważ deska nie może unieść ciężaru dwóch osób.

Teoria prawna może być dobrą, ważną, ale nie da się zastosować wcale do wypadku, w jakim się znajdowali rozbitki statku „Minionetta.” Młode chłopię, nazwiskiem Parker, nie napastował wcale swoich towarzyszy: oni go poświęcili na pastwę, pod pozorem, że ponieważ był bezzennym, życie jego mniej przedstawiało użyteczności dla jego rodziny (?) niż życie jego towarzyszy, z których każdy był żonatym i ojcem kilkorga dzieci. Ale to wszystko są, już nie wilcze, ale lisie wykręty i ci, który utrzymują, że, chcąc sprawiedliwie osądzić tę sprawę i postępek kapitana Dudleya, potrzeba koniecznie znać okoliczności, które go doprowadziły do tego występk—ci, powiadają, są gorsi od wilków i lisów; są to szatani z piekła, a przecież pomiędzy nimi są ludzie poczciwi i zaci.

Kapitan Dudley jest to jeden z tych ludzi, mogących służyć za prawdziwy typ angielskiego marynarza: silny, tego zbudowany, wzrostu miernego, jakby z brązu odlany; człowiek ten nie cierpi pewno na nerwice—nerwy muszą w tej organizacji, trochę zwierzęcej może, niezmiernie podrażnioną odgrywać rolę. Blondyn z jasnymi oczyma, jasną brodą, ma powierzchowność dobroduszną, na którą jednak nie życzę nikomu się spuszczać. W tej chwili, wskutek przeżytych cierpień fizycznych, jak zobaczymy niżej, jest Dudley osłabiony mocno, widocznie. Nogi dotychczas jeszcze ma tak zbolale i czule, że ledwie znosi pantofle. Gdy przybył ratunek dla tych nieszczęśliwych rozbitków, mieli oni nogi tak popuchłe, iż długiego potrzeba było czasu, zanim mogli choć krok postąpić.

Oto jest scena śmierci nieszczęsnego chłopięcia Parkera, jak ją opowiadał sam kapitan Dudley:

„Jedenastego dnia, (po rozbiciu się statku), spoczyliśmy ostatnie resztki żółwia; pozostały nam tylko dwie wiązki marchwi i trochę wody, którąśmy zebrali z wielką trudnością podczas kilku nawałnic poprzednich. Od piętnastego do dwudziestego dnia byliśmy bez pokarmu i bez napoju. Wówczas-to zaczęliśmy spoglądać podejrzliwie jedni na drugich. Chłopiec okrętowy, który w nocy napił się był wody morskiej, odezwał się nagle: „Umrzemy wszyscy!” Wówczas-to zrobiłem pro-

pozycją: ciągnięcia na losy, ale propozycją tę odrzucono. — *Lepiej jest umrzeć razem, powiedzieli Stephens i Brooks.* Zgoda, rzekłem, ale ciężka to jest rzecz, oddać na śmierć czterech, kiedy poświęcenie jednego może trzech ocalić (!).

„Stan rzeczy pogarszał się ciągle. Dwudziestego dnia chłopię leżało w głębi łodzi, oddychając już z trudnością i napół umarłe. Około trzeciej godziny z rana zapytałem się szypra: „Co będziemy robili? Zdaje mi się, że chłopię niedługo zemrze. Ty masz żonę i pięcioro dzieci, ja mam żonę i troje dzieci. Przed nami, nieraz już człowiek spożywał człowieka.” Stephens mi odpowiedział: „Zobaczmy wprzód, co nam dzień przyniesie.”

„Okolo szóstej godziny zaczęliśmy radzić... Brooks i Stephens powiedzieli, iż nie mogli się odważyć na zabójstwo. Odprawiłem wówczas Brooksa naprzód szalupy i, wstawszy na nogi, rozglądałem się długo wokoło, ale nic nie dostrzegłem na całym widnokręgu... W gorącej prośbie błagałem Boga, aby mi przebaczył, ukląknłem potem obok chłopięcia, pchnąłem je scyzorykiem—i umarło natychmiast.”

Takie jest opowiadanie głównego winowajcy, straszliwe w swojej prostocie. Teraz obrońcy tych wilków powiadają: Parker musiał umrzeć, był już konający, i jeżeli kapitan Dudley zdecydował się go zabić, to dlatego, iż pragnienie do szaleństwa przyprowadzało tych ludzi. Owóż gdyby chłopię umarło własną śmiercią, krew-by nie popłynęła, a zatem pragnienie biednych towarzyszy jego zaspokojonem-by być nie mogło. Ale cóż to za okropny widok, tych trzech ludzi, upajających się krwią, która ciekła z rany nieszczęśliwego chłopięcia, a ciałem jego karmiących się przez dni cztery!

Kiedy nakoniec okręt „Montezuma” spotkał błędną szalupę rozbitków, połowa ciała chłopięcia była już pożartą; a jednak ci ludzie byli tak osłabieni i niemocni, iż nie mogli sami wejść na okręt. Wywindowano więc do góry szalupę wraz z nimi, i z połową trupa nieszczęsnego Parkera!... Co za widok, i co za wrażenie na załodze.

Zabijając Parkera, kapitan Dudley nie sądził wcale, iż popełnia okropną zbrodnię; ponieważ on sam dobrowolnie opowiedział cały ten wypadek. Trudno więc będzie, powiadają wilcy, potępić go ostatecznie—o, sprawiedliwości ludzka!—a nawet odmówić mu zupełnego odpuszczenia winy... Zobaczmy. Rząd-to, albo jak oni nazywają w Anglii, Skarb, „Treasury”, podtrzymuje oskarżenie i prowadzi sprawę w Falmouth, w asystencji jednego z lepszych adwokatów londyńskich.

Dodać tu jeszcze potrzeba, że w gruncie tej sprawy jest jeszcze jedna z tych plag, które mi się wstawiły nowożytnie frymarki: oto ubezpieczanie w towarzystwach assekuracyjnych, za grube pieniądze, starych i potępionych już okrętów, które przedsiębiorcy puszczają, na pewną zgubę. Podróż „Minionetty” miała trwać cztery miesiące. Yacht był dobrze zaopatrzone we wszystko, oprócz własnej wytrzymałości, chociaż uchodził za statek dobrze się trzymający na morzu... Statek zbudowany, szesnascie, czy siedmnaście lat temu, miał już drzewo zbyt stare, aby wytrzymać mógł nacisk fal rozhukanego Oceanu. Kapitan Dudley wahał się więc przyjąć komendę tak małego i starego statku, ale ofiarowano mu 100 f. st., jako honorarium za cztery miesiące żeglugi, a nadto obiecywano mu drugie tyle, jako premium, jeśli szczęśliwie wróci do portu. To go zdecydowało wreszcie. Opłata miesięczna Brooksa i Stephensa wynosiła 5 f. st. dla każdego. Mieli oni zamiar osiedlić się w Australii, dokąd dążył ich statek, zabrali ze sobą cały swój dobytek. Dziś pozbawieni są wszystkiego, bo nawet według prawa i żółd ich przestał się im należeć od chwili zatonięcia okrętu.

Taką-to jest ta straszliwa historia „Minionetty.” Co za nazwisko dla podobnych losów! Jest to okrutny przyczynok, do cywilizacji i jej wpływu, na ulepszenie serca i duszy człowieka. Pamięć tego wypadku, miejmy nadzieję, nie zgaśnie i nowy taki Dudley, będzie mógł znów powiedzieć: „Nie my to pierwsi zajadać będziemy pieczenie z bliźniego.”

Odwracam oczy od tego straszego obrazu i idę

szukać, pod spokojnem niebem nauki, tego balsamu, który uspakaja serce i umysł i daje siłę wytrwania na drodze życia w prawdzie i wierze, choćby ta droga zasiana była kolcami i twardym kaleczącym krzemieniem.

Na szczęście, mam dla was pod ręką rzecz, o której dawno już powinienem był mówić; ale jest tyle wypadków, tyle zdarzeń, tyle nowości na tym tu bruku, że człowiek, rzucony wśród nich jak piłka, leci z jednej w drugą stronę — i czasem nie wie od czego zacząć, i na czym skończyć. Co się wszakże odwlecze, to nie ucieszył. Wypadek tak zdarzył, że mi ten obowiązek mówienia nastęrczył się wcale nieoczekiwanie. Wczoraj spędziłem wieczór u moich jedynych tu, bliskich przyjaciół, w towarzystwie kilku zaufanych osób; w liczbie ich znalazła się, dawna i miła znajoma pani Z., najmiłsza i jako postać, serce i rozum, kobieta. Jakby wczoraj przerwana rozmowa — niestety, jest temu lat osm, jakieśmy się raz ostatni widzieli — zawiązała się zaraz w najlepsze i, przechodząc z przedmiotu do przedmiotu, trafiliśmy na panią Adamową (Juliette Lamber) i na jej książkę: *Węgierska Ojczyzna* (La Patrie Hongroise).

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Sienkiewicz Henryk: Ogniem i mieczem, powieść z lat dawnych, wydanie drugie, przejrane i poprawione, 4 tomy. (T. I str. 274, T. II str. 290, T. III str. 318, T. IV str. 233). Warszawa, 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, druk S. Niemiery, 12-mo.

(Dalszy ciąg).

Najbardziej palące zagadnienie historyzofii naszej: która z dwóch potęg ze sobą ścierających się wewnątrz narodu więcej zrobiła dla ostatecznego nieszczęścia, — dotychczas jeszcze nie zostało rozstrzygniętem szczerze, niepodległe, a gruntownie, naukowo; nie odpowiedział na nie jeszcze żaden umysł szerokopatrzący, wolny od wszelkich krepujących doktryn i upodobań, sądzący rzeczy świata ze stanowiska świata i sprawy ludzkie ze stanowiska natury ludzkiej. *Uwagi* Lelewela są zanadto dogmatyczne; rozprawa Krzyżanowskiego, pełna trafnych spostrzeżeń, zamala wnika w szczegóły faktów i zamała z nich samych wyprowadza przekonujące dowody. Cały zastęp historyków monarchicznych, do którego skwapliwie przyłączają się jeden, po drugim, mistrzowie i uczniowie Szkoły Krakowskiej — swawoli szlacheckiej przypisuje wszystko zło. Jest to bardzo łatwa historyzofia, czepiająca się objawów, a niesięgająca przyczyn. Formuła jej, niesłychanie prosta, tą prostotą swoją właśnie zjednywa sobie zwolenników. Sprowadzić pojęcie państwa do pojęcia silnego rządu; przyjąć za pewnik, że jedna z dwóch potęg walczących, królewskość, dążyła do urzeczywistnienia takiego pojęcia, a druga wszystkie jej, w tym celu przedsiębrane, roboty systematycznie niszczyła; skutkiem tego przyznać pierwszej wyłączną troskę o dobro publiczne, a drugiej tylko bezmyślne używanie indywidualne tych dóbr, jakie zapewniało poruszenie się w państwie jako w uprzywilejowanej instytucji społecznej; wziąć bezład wynikający z braku organizacyj wogóle i niedostateczności umysłowego rozwoju, za jakiś grzech pierworodny życia politycznego powszechności narodowej; zrobić to wszystko i nie powiedzieć jeszcze, że upadku winną jest szlachta — byłoby to już prawdziwym niedołęztwem umysłowym. Nie patrzy się tu na naród, jak na organizm żywy, który żywą też zasadą dla własnego rozwoju z samego siebie wyprowadza i w samym sobie niesie swoje przeznaczenie; nie odpowiada się szczerze, faktami samymi, na pytanie: Czy obok owej troski o dobro publiczne, obok rozumu, nie było osobistych interesów, nie było ciasnego ograniczenia umysłu? Czy królewskość spełniła wszystkie swoje obowiązki; czy, zamiast walczyć, nie mogła

prować i poprawiać; czy jej brakło tylko możności, czy też i dobrej woli a zdolności działania? Do każdego organizmu narodowego należy jego mózg, jego umysłowość: a któryż z tych historyków monarchicznych bada upadek życia publicznego w związku z upadkiem życia umysłowego i w rozpościerającej się coraz bardziej chmurze fanatyzmu, ma odwagę ukazać jeden z czynników późniejszej niemocy? Gdy się zasiada na tym najwyższym trybunale, jaki świat dać może, gdy się przystępuje do wyrokowania o przeszłości milionów — potrzeba mieć czystość aniołów a siłę olbrzymów. Umysł bez zupełnej niepodległości, nie będzie umiał nigdy uszanować faktów; umysł bez należytej siły nie poradzi sobie z ich mnogością.

Dla filozofii dziejów, która ma przed sobą już ich całość, obojętne są wszelkie kwestye ściśle państwowe; obchodzi ją przedewszystkiem kwestya żywotnych sił społeczeństwa, stan jego zdrowia lub choroby w chwili tej katastrofy, która wytrącała je lub wytrącić miała z naturalnych jego kolei. Historyzof prawdziwy będzie badał zawsze stopień żywotności społeczeństwa bez względu na formę rządu. Społeczeństwo-naród będzie dla niego większą, głębszą kopalnią prawd historycznych, niż państwo; bo też jest większym i głębiej żyjącym organizmem: a ztąd potrzeba oglądania się przedewszystkiem na żywotne siły społeczno-narodowe, czyby się one w tej, lub w innej formie państwa czy rządu przejawiały. Tylko pogląd z takiego organicznego stanowiska przeprowadzony mógłby nam bałamuctwa nieprzeliczonych naszych historyzofii rozwikłać.

Z takiego też stanowiska patrząc na epokę wojen kozackich i szwedzkich, nie będziemy się zabawiali w małuczkie dociekania porządku i państwowości, ale patrząc na to, co zrobił stan szlachecki, wystawimy mu, pomimo wszystkich jego błędów i grzechów, *świadeństwo życia*, najwyższe, jakie od historii otrzymać może dany stan lub warstwa w narodzie.

Gdyby takasama żywotność znalazła się była w pięćdziesiąt i w sto dziesięć lat później — dzieje innym poszłyby torem. Nie życie polityczne szlachty XVI i XVII w., ale jej śmierć polityczna za Augustów — sprowadziła niemoc narodową. Nie publiczne, ale prywatne namiętności upodliły stan szlachecki — zamknęły się w domu, w kaplicy, w szkaplerzu. Bijatyki i hulatyki były koniecznym następstwem politycznej bezczynności, tego straszego bagniskowego spokoju, za który nie wynagradzało najbliższe nawet życie umysłowe, całe w książkach do nabożeństwa, kazaniach i panegirykach zamknięte. Najważniejszą przeszkodą do ustalenia się silnego rządu, któryby porządek z wolnością połączył, było pozostawienie rozdawnictwa dóbr narodowych i urzędów dożywotnich w rękach króla — broni potężna, bo jedynąca stronników, stwarzająca dwór, i arystokracją w szlachecie, możnowładztwo. Kiedy ostatni raz przed Michałem, zamiar odjęcia królom tej prerogatywy podniesiono, z czyjejże to stało się pobudki, z możnowładczej czy ze szlacheckiej, i czyjeż to stronnictwo, szlachty czy możnowładców, myśl zbawienną stłumiło. A jakichże to ciężarów nie zwała na naród dynastyczna ambicya Wazów? Szlachta polska, państwo polskie płacić musiało rachunki pretendentów szwedzkich, choć jeszcze za Zamojskiego niedwuznacznie powiedziano Zygmuntovi, iż Polska z jego pretensjami do Szwecyi solidaryzować się nie ma zamiaru. Gdyby nie ta ambicya, epoka 1648/59 r., nie byłaby pociągała by za sobą tylu ofiar, nie sprowadziłaby tak głębokiego wstrząśnienia, jak nam to ukazuje historia.

Odbiegliśmy daleko od toru, jaki nam wskazywał czysty obowiązek sprawozdawczy. Wiem o tem, ale wiem także, iż przedmiot poruszonych tu wątpliwości i nasuniętych spostrzeżeń logicznych jest nieskończenie ważniejszym i od samej powieści Sienkiewicza, i od krytycznych nad nią uwag, — a powieść właśnie przez epokę swoją sama go przed umysł nasz wywołuje.

Czasy powieści przypadają na sam początek straszliwej epoki. Wypadki zaczynają się na wiosnę 1648 r., kończą w Lipcu 1649 r. Tam początek ruchów kozackich, tu oblężenie Zbaraża i Umo-

wa Zborowska. Umowa ta zakończyła pierwszą wojnę z Kozakami i Tatarami, której obraz prawie zupełny występuje w powieści. Autor nie poprzedził go prologiem, bez jakiego historyk obcy-by się nie mógł, ale do którego epika żadne nie zniewalało prawo. W historii idzie o prawdę wierną życia, idzie o pełnię i związek wewnętrzny wypadków, o ich przyczynową między sobą zależność, której poznanie niezbędnem jest dla wyrozumienia przeszłości. Historyk prawdziwy, a nie prosty tylko badacz historyczny, musi być do pewnego stopnia poetą i artystą, ale to tylko w formie swego opowiadania; w treści powinien on być surowym sędzią śledczym, powinien być prokuratorem układającym akt oskarżenia przeciwko tym wszystkim potęgom i siłom, które za głosem rozumu iść nie chciały lub nie umiały, interes ogólny gwałciły, a z praw moralnych czyniły sobie igrazkę. Powieściopisarz czy poeta-epik nie potrzebuje ani na trybunałach zasiadać, ani wytaczać processów; przyjmuje on przeszłość z rąk historyka, wybiera z niej co chce, uzupełnia siłą własnej imaginacji i bierze za tworzywo do dzieła, które ma być, nie *opowiadaniem*, ale *utworem*. Historyk opowiada to, co się stało kiedyś, poza nim; powieściopisarz lub poeta jest tylko opowiadaczem tego, co się dzieje w nim samym, skutkiem zapalenia się imaginacji od pierwszej iskry twórczości. Nie prawda, ale piękno, nie rzeczywisty, ale własny świat, z gliny rzeczywistego wytworzony, staje z prawami pierworodztwa przed inteligencyą każdego poety, każdego epika. Któżby się odważył przyjąć *Iliadę* za szczerą historiją oblężenia Troi i wierzyć w to, że w niej są wszystkie i takiesame fakta, jakie były istotnie w życiu? Ale wszyscy wierzymy chętnie, że w *Iliadzie* odbija się naród grecki, człowiek ówczesny, i cenimy poemat, nie dla jego historyczności, ale dla prawdy i siły, dla życia i piękna człowieczego, które nam przed oczy stawia. Żadnemu dziełu historycznemu nie wolno być historiją, każdy musi być pięknotworem. Poeta także opowiada historiją, ale jest to historia raczej wiekuistej natury ludzkiej w danem społeczeństwie, niż samego tego społeczeństwa. Francuz, Vitet, pisał dramata, które z kronikarską szczegółowością ukazywały przeszłość polityczną Francyi. Cóż z tego? Pozostał między niebem a ziemią; ztąd się oderwał, a tam go nie przyjęli. Historia jest czem innym, poezya czem innym; brać ich pod jedno wspólne prawo nie wolno. Nie uczyni też tego żadna etyka, mogąca się wylegitymować prawem pochodzeniem. A najstraszniejszą już bywa estetyka socyologów i ekonomistów.

Obraz byłby, bezwątpienia, pełniejszym, gdyby go był Sienkiewicz poprzedził przedstawieniem tego, co dało zarówno powód, jak i pozór do suntu; bo, choć był pozór niegodziwie wyiskany, choć była rozszalała ambicya i nienawiść, były także i przyczyny poważne i zażalenia słuszne. Bez nich niepodobna byłoby pojąć: jakim sposobem Chmielnicki wywołał z przestworów Ukrainy tak ogromną masę czerni; największa jego powaga u swoich, najwyższa przewrotność nie dokazałaby tego sama przez się; było już gotowe usposobienie, a złożyły się na nie winy samej Rzeczypospolitej. Porzucono rozumną drogę, na jaką wprowadził był kozactwo Stefan Batory: zamiast, ze wzrostem ludności, z ożywieniem się stepów powiększać regestr, zmniejszając go, a nieszczęsna Kommissya Kurukowska niewdzięcznością jawną odplaciła Kozakom usługi, jakie wyswiadczały na dalekich nawet Inflantach przez dwadzieścia lat wojen z chwałą prowadzonych. Ograniczenie rejestru, skrepowanie wyborów, musiało drażnić przywykłą do wojskowości i wojskowego samorządu Sicz. Prawda, że ciągłe łupieztwa narażały na ustawiczne starcia z Turkami, ale i temu dałoby się zapobiedz, gdyby wcześniej pomyślano o postawieniu silnej twierdzy pogranicznej, któraby, nad obu brzegami Dniepru panując, wyprawy na Czarne Morze tamowała. Zrozumiano w teorii, ale nie umiano wprowadzić w rzeczywistość przeznaczenia, jakie miała ta anomalia ludu wojennego, zorganizowanego odrębnie od całości i pod społecznym i pod politycznym względem. To, co

Austria przeciwko Turkom umyślnie zakładać musiała, Polsce wytworzyła niejako sama natura przeciwko Tatarom. Kozacy—toż to gotowy taran do rozbicia Perekopu i Krymu! Prześięwzięcie nie było do wykonania niepodobnem, a raz wykonane, dawało rozwiązanie kwestyi z istoty swej zawilej, jaką była od początku kwestya Kozacczyzny. Możliwością było ziemie tatarskie zostawić w trwałem ich posiadaniu, zaprowadzając węzeł federacyjny, któryby zapewnił użytkowanie z ich sił i zabezpieczył, tak granicę południową, jaki stosunki handlowe z Południem.

Wojny prowadzone za Zaruckiego i Konaszewicza wywarły wpływ dobroczynny. Zaczęło się w Kozakach wyrabiać poczucie wspólności z wielkim ogółem, który ich ogarniał, zaczęli sami ciężać do Rzeczypospolitej, i w r. 1632 dopomnieć się udziału w elekcyi. Była to chwila stanowcza: możnowładztwo jej nie pojęło, bo znajdowało się od kilku lat na drodze zgubnej reakcyi, do której podwaliny rzucił, późniejszy pogromca Gustawa Adolfa, Koniecpolski. Nawet już po tej odmowie, nawet w czynach zbrojnej nieprzyjaźni o czemże marzy Pawluk? O rozpadzeniu możnowładztwa i nowych porządkach. Oczy jego zwracają się ku Warszawie: tu pada środek ciężkości jego zamysłów. Daleką jest jeszcze chwila ciężenia nazewnątrz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

skreślone oryginalnie przez

HELENĘ NEGRONI.

CZĘŚĆ DRUGA

(L A P L A T A).

IV.

Charakter kraju Gran-Chaco.—Entre Rios.—Terra do Missiones.—Jezuici i drzewa owocowe.—Prowincya Buenos Aires.—Patagonia i Walijszczy.—Osada Chubut.—Stepy Pampas.—Zamki napowietrzne.

(Dalszy ciąg, ob. N. 47).

Rzeczpospolita Argentyńska składa się z czterestu prowincyi i dziewięciu terytoryów, położonych pomiędzy 23 i 54 stop. szer. południowej. Jest to ogromna płaszczyna, zaledwie gdzieś gdzie urozmaicona rzadkimi pasmami gór, bo niepodobna tu liczyć Andów znajdujących się na samym krańcu jej zachodniej granicy. Obejmuje, ciągnąc się na tak długiej przestrzeni, trzy strefy, począwszy od gorącej podzwrotnikowej, do umiarkowanej i zimnej podbiegunowej. Każda z nich, mająca właściwy sobie klimat i odpowiednią roślinność, wydaje najroznorodniejsze produkty, za którymi też idą najrozmaitsze rozgąłzienia handlu i przemysłu. Północna część rzeczpospolitej graniczy z Boliwią; zajęta jest przez terytoryum zwane Gran-Chaco, leżące w blizkim bardzo sąsiedztwie licznych plemion Indyjan, dość łagodnych obyczajów. W skutek tego sąsiedztwa, pomimo urodzajnej niezmiernie gleby, Gran-Chaco mało jest zamieszkane. Produkta jego są: naturalnie rosnące lasy trzciny cukrowej, przewyższające wyborowym gatunkiem brazylijską, bawełna, kawa, herbata takzwana Mate, i odwieczne lasy dziewicze najrzadszych drogocennych drzew, z których mianowicie jedno, takzwane „żakasu“, bardzo poszukiwane do budowy okrętów, jest tak trwałe i twarde jak żelazo, nie ciężąc więcej od zwyczajnego drzewa. Lasy te, położone nad spławem korytem rzeki, obfitują w dzikie ptactwo i wszelkiego rodzaju zwierzę.

Z Gran-Chaco sąsiadują prowincye Entre-Rios i na północ od niej leżąca Terra de Missiones.

Entre-Rios znaczy międzyrzecze i wraz z Terra de Missiones jest prawdziwą ziemią obiecaną. Obie te prowincye położone między dwiema wielkimi rzekami spławionymi Paragway'em i Uru-gway'em, pokryte są wieczną zielonością, kwiatami i krzewami uginającymi się pod ciężarem najpyszniejszych owoców stref umiarkowanych.

Terra de Missiones była dawniej, jeszcze za panowania Ludwika XIV, a nawet i przedtem, odwiedzana, a po części stale zamieszkała, przez liczne zakony Jezuitów francuzkich. Z początku przybywali oni w celach czysto missyjnych do kraju; później, pokosztowawszy chleba apostołskiego między Indyjanami, wracali, zaczęli się osiedlać i pozakładali klasztory, których ślady podziś dzień jeszcze istnieją. Missyonarze ci ułagodzili obyczaje Indyjan, nauczyli się ich języka, którym doskonale władali i takie potrafili wzbudzić w nich zaufanie, że wielu z pomiędzy nich religią chrześcijańską przyjęło, a z nią i po części obyczaje chrześcijan. Dziś wszystko to zniknęło. Indyjanie prawie wytępieni albo dalej na zachód wyparci, a po Jezuitach zostały tylko prócz ruin wyborowe drzewa owocowe, w które ta prowincya obfituje i rozmaite inne rzadkie rośliny europejskie, dzięki którym ogromne te obszary zamieniają się w rozkoszne prawdziwe ogrody.

Na południe od Entre-Rios ciągnie się prowincya Buenos-Ayres aż po rzekę Rio-Negro. Jest ona najładniejszą, ma grunta najlepiej uprawne, zaopatrzona jest w dobre drogi, w kilka linii kolei żelaznych,—żywna, lesista, z klimatem umiarkowanym. Buenos-Ayres jest jeżeli nie najżywniejszą, to najprzyjemniejszą do zamieszkania i głównie do niej śpieszą zamożniejsi koloniści. Z tego powodu grunta uprawne są tu o wiele wyżej szacowane niż w innych prowincyach.

Rzeka Rio-Negro (Rzeka Czarna), stanowiąca granicę między tą prowincją a Patagonią, przerywa pokłady ziemi żyznej, zbliżonej do naszych gruntów pszennych. Woda tej rzeki zawiera w sobie dużo żelaza; użyta za napój, ma siłę wzmacniającą do tego stopnia, że bydło nawet paszące się nad jej brzegami jest dużo silniejsze i rośniejsze od innego w tejsamej okolicy. Pomimo blizkiego sąsiedztwa Indyjan, powstają tu coraz liczniejsze kolonie.

Poza rzeką Rio-Negro rozpoczyna się Patagonia, ciągnąca się od Andów do Atlantyku ogromnymi stopniami, które gołem okiem nawet dojrzeć można. Stopni tych jest osm. Odpowiadające one mają stopniowemu cofaniu się Oceanu z łądów.

Patagonia była przez długi czas kością niezgody pomiędzy Stanami La Plata, Chili i Peru, ale dziś Rzeczpospolita Argentyńska stanowczo zatknęła tu swój sztandar i fikcyjnie niby zawładnęła całą prowincją; rzeczywiście zaś obszary te są zamieszkałe na północ przez plemiona Indyjan, a na południe przez Patagonów i garstkę Europejczyków, najwięcej Anglików; w środku ciągną się w dalszym ciągu stepy zwane Pampas, piaszczyste nieurodzajne i wcale nie zamieszkane. Temperatura corazbardziej się tu zniżą, podczas zimy dochodzi do ciężkich mrozów, o wiele silniejszych od zimna panującego pod odpowiednim stopniem szerokości na półkuli północnej. Jeżeli środkowa Patagonia jest nieurodzajną, to przeciwnie brzegi jej ponad dwoma Oceanami są nadzwyczaj żyzne, lesiste i pokryte bujną i bogatą vegetacją. Koloniści osiedlają się jednak tu niechętnie, osad jest niewiele, a te głównie przez Anglików założone. Handel prowadzą tylko Irlandczycy, ograniczając go na wywozie ryb suszonych na słońcu. Ze wszystkich osad południowej Patagonii najważniejszą jest Punta-Arenas, należąca do Rzeczypospolitej Chilijskiej; ma ona kopalnie złota i węgla kamiennego, a będąc położoną nad Oceanem Spokojnym, często statki w węgiel zaopatruje; pomimo tego jednak jest bardzo biedna i osadnictwo tylko w ostateczności i z niechęcią do niej się kieruje. W północnej Patagonii, po stronie Atlantyku, największą osadą jest Chubut (Czubut), leżąca nad rzeką tegoż nazwiska, w blizkości już prowincyi Buenos-Ayres. Kolonia ta, która liczy dopiero dwadzieścia lat istnienia, pomyślnie się rozwija, a oryginalnością swoją doszła do pewnej sławy. Jest to li tylko

kolonia angielska, a raczej utworzona z wychodźców jednego tylko księstwa Wali. Biedacy z głodu tam umierali i przewieźli się tu w nadziei polepszenia losu. Nadzieje ich nie zawiodły, bo są w dostatku i pewni przyszłości, ale w takiej obawie, ażeby bytu im nie wydarło, że nikomu nietylko z obcej narodowości, ale nawet z innych hrabstw Anglii, nie pozwalają osiedlić się u siebie; każdy musi być koniecznie, jak oni, mieszkańcem Wali. Dopomaga im do tego odosobnienia język ich rodowity, do pnia galijskiego należący, „Welsh“ przez Anglików zwany, dla nikogo niezrozumiały, i ten-to język jak mur chiński broni ich i od reszty świata zupełnie odłącza. Rokrocznie, za pieniądź uzbierany ze wspólnych składek, sprowadzają oni kilkunastu swoich rodaków i dopomagają im do osiedlenia się, a temsamem do szybkiego wzrostu kolonii. Deputacya mająca z sobą tłumacza składa raz do roku czołobitność swoją prezydentowi Rzeczypospolitej, a przy tej sposobności potrafi zawsze coś od władzy utargować. Tymrazem wyrobili sobie fundusz na założenie szkółek dla małych dzieci. Prezydent zawsze ich bardzo uprzejmie przyjmuje, a miasto ma prawdziwą zabawę; uwiadomiona ludność o ich przybyciu, na krok ich nie odstępuje, ogromny tłum wszędzie im towarzyszy; a oni, dumni z wrażenia, które wzbudzają, niezmiernie ukontentowani wracają do siebie. W deputacyi są także kobiety, które bynajmniej się nie cofają przed audyencyą i pierwsze prezydentowi życzenia składają.

Pomiędzy wyżej wspomnianymi prowincjami a sąsiednimi państwami Chili i Peru ciągną się na ogromnej przestrzeni od Brazylii do Cieśniny Magelana, stepy zwane Pampas; na terytoryum ich rozciąga się kilkanaście prowincyi Rzeczypospolitej Argentyńskiej i obwodów nieuważanych jeszcze za prowincye. Step te podzielić można na trzy części: północną, która poprzerzynana rzekami, strumieniami i jeziorami, jest lesista, bardzo urodzajna, przepyszna ma roślinność, ale mało jest zamieszkała; środkową zupełnie suchą, piaszczystą, wcale nieurodzajną i nieludną; i trzecią mającą liczne strumienie wód i ogromne przestrzenie pokryte przez największą część roku piękną zielonością, stanowiącą nieocenioną pastwiska. Wśród tych, głównie w częściach zbliżonych do Oceanu Atlantycznego, osiadają emigranci i koloniści zajmujący się hodowlą bydła; w zachodniej zaś części, graniczącej z Andami i Kordylierami, zamieszkują koczujące plemiona Indyjan, które coraz więcej parte są na Zachód przez wzrastające kolonie europejskie.

Plagą stepów jest susza podczas lata; strumienie wtedy wysychają, zieloność znika, wszystko żarem słonecznym spalone, studnie próżne, a ziemia, pękając, otwiera jakby tysiące ust spragnionych. Mniej lub więcej długa epoka trwania tej suszy stanowi dobry lub zły rok dla kolonistów. Bywają lata, w których bydło z pragnienia pada całemi gromadami; czasami też emigruje, szukając świeżego pastwiska i wody; zdarza się nieraz, że całe stado znika na kilka miesięcy i samo potem wraca z przyjaźniejszą porą roku.

Drugą niedogodnością Pampy jest w wielu miejscowościach brak zupełny drzewa. Uczeń ciekawie fakt ten tłumaczy. Powiadają, że Ameryka Południowa była jedną z części Nowego Świata, która najpóźniej wypłynęła z nurtów Oceanu, i że warstwy ziemi urodzajnej, utworzone po cofnięciu się już wód, nie miały jeszcze czasu dostatecznego do uformowania się; że, przewierciwszy je stosunkowo wcale nie głęboko, napotyka się warstwę skamieniałego wapna, odłamów skał i piasku, które tamują rozrost korzeni, dlatego też drzewo zasadzone z początku rozwija się z nadzwyczajną szybkością, ale gdy tylko korzenie się rozwiną i dochodzą do owej warstwy, muszą schnąć, wskutek czego i drzewo samo ginie.

Jedną z osobliwości właściwych łądowi tutejszemu jest to, że on jeszcze teraz ciągle wydobywa się z Oceanu i stopniowo się powiększa, przeciwnie temu, co się z małemi wyjątkami prawie wszędzie w ogóle dzieje, że Ocean zagarnia ziemię. Owa naprzykład rzeka La Plata dawniej nie istniała wcale; tam, gdzie ona dziś płynie i naokoło w kilkumilowym promieniu była ogromna

zatoka, o którą rozbijały się bałwany Atlantyku; dlatego dziś jeszcze rzeka La Plata podobna jest do głębokiej zatoki, więcej, niż do koryta rzeki, a koryto to coraz się ścieśnia i zmniejsza. Szkielety ogromnych ryb, wielorybów i muszli rozmaitych, znajdujących głęboko w ziemi, mniemanie to potwierdzają. Na południe od Buenos Ayres koło miasta Bahia Bianca (Zatoka Biała) woda od bardzo niedawnego czasu musiała się cofnąć, bo grunt, daleko naokoło przystani, utworzony jest z owej wapiennej warstwy, którą napotykamy w północnych stepach, ale tu nie jest ona pokryta warstwą urodzajną, gdyż ta wcale jeszcze sformować się nie miała czasu.

Pampa ma własność powiększania przedmiotów widzianych zdaleka i zapełniania przestrzeni fikcyjnymi obrazami. Dla świeżo przybyłego podróżnika, nieobeznanego z tą grą fantazyjną powietrza, stepy przedstawiają się jaknajpiękniejszy krajobraz. Ze zdumieniem przekonywa się później, że to złudzenie; że owe starożytne kastele z fortami i basztami, wśród lasów dumnie się wznoszące, nie są niczem innym tylko chatami skleconymi z błota, wystającymi pośród karłowatych krzaków i zielonej trawy, i że Pampa jest tylko ciągnącą się bez końca jednostajną zieloną płaszczyną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

— **Życie rozgłośnie znanej autorki angielskiej,** piszącej pod pseudonimem Jerzego Eliot, zostało napisane przez jej męża, J. W. Cross, i ma mieć nieznaną dotąd publiczności szczegóły z jej lat młodych, przyczem tak skorzystano z dziennika i bardzo obszernej korespondencji zmarłej, że utworzyła się z nich jakoby antobiografia. Wielka otwartość i śmiałość jej charakteru, zaznaczająca się w listach do osób, z którymi łączył ją stosunek przyjazny, pozwoliły biografowi przez umiejętne zestawienie odsłonić przed czytelnikiem cały proces jej umysłowej ewolucji i zarazem rozwoju jej pisarskiego talentu. Historia okoliczności, w których sławny potem jej pseudonim został przyjęty, długo utrzymana tajemnicą jej autorstwa, dalej wypadki, które ją odkryły, szczegóły dotyczące jej domowego życia i stosunków towarzyskich, mają sobie oddane znaczną część książki. Ze przeciwieństwa człowieka, który lat wiele kochał genialną kobietę, aby poślubić ją już w wieku stosunkowo późnym, można przypuścić, że te szczegóły jej życia, które są życia tego czarnymi cieniami, nie wychodzą z pod jego pióra tak, aby się stało zadość prawdzie i tej sprawiedliwości, która nakazuje, aby sąd o człowieku uczciwie i bezstronnie był wydanym. Nawet bez tego, aby biograf chciał tać lub przekreślać fakta, fakta te nie mogą wyjść z pod redakcji jego jasno i prawdziwie, bo prawda przed jego własnym umysłem zatajała się i tak się zacieniała z konieczności, że czarna strona przedmiotu znikać musiała. Inaczej nie mogłoby być w sercu jego tej miłości, wiernej aż do grobu, a przez którą dał kochanej kobiecie to, czego żaden talent, choćby tak wysoki, jak tu, dać nie może—jakieś uczciwe i prawnie noszone nazwisko, którego brakowało znakomitej autorce. „Śmiała i otwarta“ nie umiała jednak pomyśleć bez upokorzenia, że jej grób będzie kiedyś opowiadał ludziom bardzo smutną historią, bo prawo nie pozwoli położyć nad jej prochami nazwiska, noszonego za życia—nazwiska człowieka, którego wydar-

ła niegdyś innej kobiecie. I zapewne dlatego: dla legalnego, niezaprzeczanego nazwiska, którym mogłaby się nakonec podpisać spokojnie, zawarła ośmieszającą ją w jej wieku małżeństwo i było to jej pokutą, a zarazem uznaniem tych praw moralnych, rządzących ludzkością, które chciała łamać, a przed którymi ostatecznie schylić się musiała. Ze człowiek, który ją wziął za małżonkę, jest bogatym bankierem, więc żadne poniżające go podejrzenie spekulacji paść na niego nie może. Pokochał młodzieńcem, stał się potem poświęconym przyjacielem i gdy została względnie wolną, dał jej nazwisko swoje. Książka, którą napisał, będzie ilustrowana kilku portretami zmarłej z różnych epok jej życia, a trzeba tu dodać, że nawet w młodości nie była ładną, a nawet była brzydką przez grube rysy, przez grube, twarde, „nieposłuszne“, jak je zwała sama, włosy, uparcie rosnące do góry. Ilustracje zawierające będą i krajobrazy wszystkich miejsc jej pobytu, utrudzająca praca zdejmowania ich sprawia, iż książka nie zaraz jeszcze ukaże się w druku, wyda ją londyński księgarz Blackwood (and Sons), tytuł będzie: *Life of George Eliot, by J. W. Cross.*

— **Dr Ebers, uczonego egiptolog i powieściopisarz,** jest bardzo chory; dla uleczenia go, potrzebną jest ciężka operacja; ale zamiłowany w pracy swej pisarz, nie chce się temu poddać, dopóki nie ukończy powieści, którą pisze właśnie. Biografią Ebersa i studiami nad jego twórczością literacką zajmował się także egiptolog, professor Lepsius.

— **Ruch podróżników po Afryce** jest ogromny, można też teraz znaleźć się tam nagle w bardzo dobranem towarzystwie. I oto gdy my chciwie chwytamy wiadomości o Rogozińskim i jego towarzyszach, gdy nasz Dr Reman drukuje swoje szkice afrykańskie, gdy Monsignor Massaja, kapucyn-missionarz, nowo wyniesiony do godności kardynała, wydaje pamiętniki: *Trentacinque Anni di Missione nell'alta Etiopia*, które utworzą dziesięć tomów in 4-to, po 500 stronic, bogato ilustrowanych, pisma podają coraz nowe szczegóły o podróżach i podróżnikach, którymi roi się ląd afrykański. Angielski konsul O'Neill odbył w bieżącym roku dwie ważne wycieczki w nieznaną dotąd okolice Afryki Wschodniej. Pierwsza jego droga, zostawiając poza sobą rzekę Shire w Chironzi, szła ku Blantyre, mając po lewej swej stronie okolice Ma-Kolola. Drugim razem kierował się od Blantyre ku Quillmani, a te podróże O'Neilla mają doniosłość zbadania drogi najkrótszej i najdogodniejszej, bo trzymającej się wciąż wybrzeży. Włoch, Augusto Franzoi, wrocil świeżo, bo w miesiącu przeszłym, z wyprawy także w głąb Wschodniej Afryki, którą zwiedził, poczynając od Massana, Gedaref i Galabet na północy, po Imma, Gomma i Gera na południu. Wracając z kraju Shoa, towarzyszył on karawanie idącej z Aussa do Assab, której wszystkie wielbłądy pociągowe padły w drodze, i która przebyła też bardzo ciężkie trudy i niedostatki. W pobliżu Assab spotkał się Fronzoi z hr. Piotrem Antonelli i Dr Regazzi z marynarzki włoskiej, dążących do Shoa. Zanim podróż swoją spisie, czasopismo włoskie: *Esploratore* drukuje tymczasem dziennik innego badacza, Bianchi, opisujący podróż jego od płaskowzgórza Endera w Abissyni do kraju nizin, aż do Sereba, które to miejsce jest najdalszym punktem, do jakiego dotarł kiedy Europejczyk. Także w *Esploratore* drukuje się opis pobytu w Assab Dr Rho; signor Bargioni podaje tamże ciekawe wiadomości o pokoleniach, żyjących na wybrzeżach jeziora Tangynika. Równie zupełnie świeżych wiadomości o okolicach, położonych między Binne i Calabar udziela niemiecki podróżnik Flegel, który tylko

co powrócił do Europy, wskutek groźnie mu okazywanej nieprzyjaźni krajowców. Porucznik Becker, Anglik, członek *Międzynarodowego stowarzyszenia afrykańskiego* wyprawił się do Zanzibaru z powierzonem mu zleceniem założenia stacyi w miejscowości Nyangwe w górze Kongo. Wszystkie to są wiadomości zanotowane przez pisma podróżnicze, jako nowości z ostatniego miesiąca.

— **Berlińskie stowarzyszenie elektryczności** miało sobie przedstawione przez Dra Aron rozmaite okazy węgla roślinnego, który stał się już prawie niepalnym przez przedłużone ogrzewanie go w atmosferze neutralnej. Okazy te były tak podobne do grafitu, że dano im nazwę sztucznego grafitu.

— **Obraz Leonarda da Vinci,** malowany w roku 1480: „Chrystus Zmartwychwstający“, został odkryty przy porządkowaniu berlińskiej galerii obrazów. Donosi o tem kustosz galerii Dr Bode.

— **Obraz Rembrandta „Pozłotnik“**, został w Paryżu sprzedany za 220,000 franków. Tym, który je dał, jest legendowa postać dzisiejszych czasów „bogacz amerykański“.

— **Cyd,** nowa opera signora Coppala, wystawiona w Kremonie, zyskała ogromne powodzenie i została włączona przez sąd znawców między wyższe dzieła muzyczne naszego czasu. Kompozytor został wywołanym dwadzieścia siedm razy.

— **Fernando,** druga nowa opera, także włoskiego kompozytora: Ferruccio Ferrari, wystawiona w Weronie, w teatrze Ristori, upadła. Przedmiot ten sam co *Faworyty* Donizetto.

— **Gounod,** pracujący obecnie nad oratorjum: „*Mors et Vita*“, pragnie ofiarować je papieżowi i wskutek tego podał prośbę o przyjęcie swej ofiary do nuncjusza paryżkiego Monsignora di Reude. Nuncyusz udał się do Byzantyńskiej Willi kompozytora przy placu Malherbes, i odwiedziny trwały godzin kilka, bo Gounod, siadłszy do organów, odegrał całe dzieło swoje. Nuncyuszowi towarzyszyła jego matka, margrabina di Reude, dla zadowolenia której francuzki maestro spiewał sławny swój utwór „Ave Maria“.

— **Stowarzyszenie niemieckich przyrodników** wyznaczyło na zbliżające się zebranie doroczne Strasbourg. Jest to annexa naukowa.

— **Wypadek literacki** stanowią dwa tomy historii tureckiej, wydane w Konstantynopolu przez baszę Ahmeda Jewdet. Ahmed basza pracował nad tem dziełem swoim więcej niż lat dwadzieścia pięć, że przytem sprawował wysokie urzędy, zabierające czas, dowodzi to wielkiego przejęcia się zadaniem swoim. Jest to jeden z najpierwszych ulemów, którzy zapoznali się z językami i nauką europejską, i prócz tego dzieła swego, które ma być bardzo ważne, bo stanowi wiernie, poważnie zdejmowany obraz politycznego i moralnego życia Turcyi, poczynając od XVII wieku, do zasług Ahmed baszy, należy to, że przykładał się czynnie do zakładania w Konstantynopolu szkół, według wyższych wymagań nauki i urządził w nich wykłady historyi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Dwie**; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Silny duch**.

Do dzisiejszego numeru dołącza się

Prospekt „BLUSZCZU“ na 1885 r.

Dołącza się Prospekt pisma „*Dziennik dla wszystkich*“.

TREŚĆ. Pogawędka. — Jak długiem jest życie, poezya. — Kartka z pamiętnika poety, (fantazyja, (dalszy ciąg). — Głupia dziewczyna (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Nowiny paryżkie. — Przegląd piśmienniczy, (dalszy ciąg), przez Stanisława Krzemińskiego. — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, (dalszy ciąg), przez Helenę Negroni. — Drobnie listki.

Dodatek obejmuje: dokończenie powieści p. t.: **Dwie**, przez M. Georgianę Craik; oraz arkusz 1-szy powieści p. t.: **Silny duch**, przez W. Heimburg. 33 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekretarza gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Нолбра 1884 года.